TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II. Nr.39./47/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 24.IX.1942.

Do przyjaciół - Francuzów.

Sławny już telegram przewodniczących Izb Francuskich,będąc w obecnym stanie podwójnej: niemieckiej i wewnętrznej lavalowskiej niewoli - aktem nietylko patriotyzmu lecz i odwagi, przynosi nową ulgę moralną wszystkim, którzy nie przestali wierzyć w naród francuski, przynosi też nową nadzieję tym, którzy nie widzą zdrowej przyszłości Europy bez odrodzenia Francji.

Zdajemy sobie bowiem sprawę, że w niższych zwłaszcza warstwach francuskich żyje wciąż owa miłość kraju i nienawiść do przemocy, które kiedyś uczyniły z Francji symbol bohaterstwa i wolności; wiemy że pomimo haniebnej zdrady wielu podrzędnych klerków, większość naprawdę wybitnych pisarzy francuskich zachowała się z godnością i poczuciem ich roli; dość zresztą francuzów z pośród intelektualistów i robotników zwłaszcza ginie w obozach koncentracyjnych, padło pod kulami plutonów niemieckich abyśmy mogli na cały naród złożyć winę straszliwej historycznej zbrodni jego tchórzliwych lub nikczemnych przywódców.

Natomiast będzie na zawsze zapisane w historii, że poza wielką burżuazją, która przez wiele lat przygotowywała klęskę i niesławne poddanie się Francji - winę tej klęski ponoszą przedewszystkiem polityczni i wojskowi przywódcy Francji, jedni przez swą krótkowzroczność, inni przez haniebną lekkomyślność, wszyscy przez brak charakteru, będący w decydujących historycznych chwilach ciężką zbrodnią.

Europa, która oswoiła się jakby oddawna z korupcją parlamentarną i cynizmem niektórych polityków francuskich, uważała przecież ten cynizm za taką oryginalność życia francuskiego jak istnienie w Paryżu różnych nocnych lokali, które niczym nie ujmowały świetności Collège de France, Sorbonie czy Komedii Francuskiej. I niejeden polityczny purytanin w Polsce przebaczał łatwo ów cynizm francuskim kolegom, przekonany, że ostateczną instancją moralną we Francji będą zawsze wielcy patrioci, wielcy żołnierze, że do nich należeć będzie zawsze ostatnie słowo.

Napewno też bardziej niż sama klęska wojenna Francji, niż sam fakt jej poddania się wstrząsnęła światem świadomość, że ta klęska, ta

kapitulacja było to dzieło woli i bezwoli owych właśnie przywódców, owych autorytetów moralnych, w które wpatrzona była nietylko sama Francja, ale ileż narodów w Europie.

Cóż z tego, że demoniczny, kokieteryjnie niepopularny Maudel był na czas haniebnych rokowań aresztowany, że paru ministrów doradzało uporczywie dalszą obronę, cóż z tego nawet, że świetny dowódca generał Charles de Gaulle, poczuwszy w sobie sumienie narodu, stał się z dnia na dzień symbolem, człowiekiem historycznym, któremu Francja winna będzie nazawsze, że uratował jej honor.

Nie zmienia to faktu, że rząd francuski, co więcej, czołowi ludzie Francji bądź to ukartowali ową kapitulację, która pogrążyła naród francuski w niewolę i nędzę, bądź też, jak zacny ale słaby prezydent Lebrun po ciężkiej walce ale przecież ją podpisali; tej odpowiedzialności nikt i nic z nich nie zmyje.

Prezydent Jeanneney i Edward Herriot nie mogą też swym szlachetnym i odważnym czynem zrehabilitować owej dawnej Francji, ale zdają się wzywać nas do litościwszego sądu o niektórych ludziach, wskazując na tragedię słabości, na męki iluż sumień, które zgrzeszywszy przez tę słabość nigdy już nie zaznają spokoju; przedewszystkiem zaś i to jest najważniejsze - wskazują oni na coraz krzepnący we Francji opór, na pragnienie zmycia hańby z czerwca 1940 r.

Jest też sprawiedliwe, aby stało się ogólnie wiadome, że zarówno staruszek prezydent Jeanneney, jak szlachetny, uczuciowy, porywczy, bezinteresowny choć nie zawsze roztropny Herriot, należeli zawsze do najszlachetniejszych postaci tak tragicznie upadłej Republiki, że do nich właśnie zarzut cynizmu nigdy nie przystał, że pracowali lepiej czy gorzej ale z wiarą prawdziwą w stare hasła i cnoty jakobińskie, że wreszcie w owym haniebnym czerwcu bronili dokąd potrafili dalszego oporu, sojuszu z Anglią i ustąpili pod najwyższym przymusem moralnym.

Herriot, wielki mówca, o szerokim uczuciowym geście, wielokrotny premier, kulturalny pisarz, znawca muzyki, znany jest na całym świecie, między innemi dzięki wspaniałym i raczej życzliwym karykaturom Sennepa, w Ameryce zaś szczególnie popularny, odkąd ustąpił z przewodnictwa w rządzie, żądając dopełnienia spłaty długów amerykańskich.

W przeciwieństwie do niego prezydent Jeanneney był zawsze dla zagranicy osobą niemal zupełnie nieznaną i przeciętnemu cudzoziemcowi wydawał się napewno typowym francuskim prezydentem Senatu, to znaczy się czcigodnym starszym panem, o kompromisowych przekonaniach, który dla tej właśnie czcigodności i tych kompromisów zostaje najczęściej prezydentem Republiki jak Fallieres, Loubet, Lebrun, Doumer lub wybitniejszy od nich lecz równie pojednawczy Doumergue.

Otóż wbrew tym pozorom chorowity, drobny i niepozorny staruszek, prezydent Jeanneney był właśnie i tylko w swoim kraju prorokiem, był nietylko jak każdorazowy prezydent Senatu "delfinem Republiki" to znaczy się niejako tradycyjnym pierwszym kandydatem na najwyższy urząd, ale przedewszystkiem powagą moralną, ku której zwracano się podczas szczególnie trudnych kryzysów, oczekując od niego jako ofiary dla dobra kraju - przyjęcia kierownictwa państwa lub rządu, czego skromny i słabowity prezydent Jeanneney stale odmawiał. Może jeden, Maurice Sarraut, właściciel "La depêche de Toulouse" i zakulisowy papież radykałów miał wśród swych zwolenników ten bezwzględny posłuch, jaki zdobył sobie na szczytach polityki francuskiej prezydent Jeanneney, "papa Jeanneney", jak go nazywano.

Posłuch ten zawdzięczał w dużej mierze temu, że w czasie poprzedniej wojny był jednym z najbliższych współpracowników Clemenceau i pod-

sekretarzem stanu w jego rządzie. Jak Mandel, jak generał Henri Mordacq bez kompromisów do śmierci i po śmierci "Tygrysa" pozostał mu wierny,tylko podczas kiedy Mandel rozumiał testament Clemenceau jako nakaz "silnej ręki",jeśli mówiło się o nim jako o tym,który w decydującej chwili "zrobi porządek" - łagodny "papa" Jeanneney za słaby do rządów, ani mówca, ani pisarz - wcielał w oczach francuzów tylko swoją myślą,swoją opinią czysty jakobinizm,to znaczy radykalny patriotyzm,który był ideałem "Tygrysa". On nieomal jeden z czołowych mężów Francji w ostatnich miesiącach przed wojną i w czasie kampanii wrześniowej nietylko okazywał nam owe tradycyjnie zawsze z nami bijące bohaterskie serce francuskie,ale on też najjaśniej widział i rozumiał wtedy znaczenie Polski,sprawy polskiej,oporu polskiego. Jak wszystko,co czynił,zostawało to w kulisach polityki, ale wiedzą dobrze o tym ci,którzy się z nim wtedy stykali i dzisiaj jest dobra okazja,aby Polacy dowiedzieli się o tym szlachetnym człowieku,tak odważny głos podnoszącym w obronie honoru i wolności,który w najcięższej dla nas chwili był nam prawdziwym i rozumnym przyjacielem.

Kiedy dziś myślę o nim,że tak skwapliwie słuchał nas,gdy wszyscy niemal czołowi ludzie Francji radzi byli się w ziemię schować,byle nie świecić przed Polakami swoją bezradnością i jeszcze nieznaną nam bezsiłą,przychodzą mi na myśl twarze dalekie iluż przyjaciół-Francuzów,którzy w owe straszne,niepojęte dni września cierpieli i płakali razem z nami, którym nigdy tego nie zapomnę i,którym,przesłać chciałbym dziś braterskie słowa w ich cierpieniach i,czego im najwięcej potrzeba,słowa wiary w przyszłą Francję.

Widzę wielkiego pisarza,Jerzego Duhamela,jak ,trzymając moją dłoń w swych rękach mówi mi z opuszczoną głową,że cokolwiek twierdziliby oficjalni politycy,jakkolwiek nieczuła zdawałaby się ulica paryska,prawdziwa Francja odczuwa i zawsze odczuwać będzie jako ciężki wyrzut sumienia,że nie pomogła oblężonej Warszawie. I mówiąc to,Duhamel,jakby w przeczuciu tego,co stać się miało za parę miesięcy,jakby rozumiejąc,że owo opuszczenie Polski jest już klęską francuską,zaczyna płakać i to ja,Polak,muszę pocieszać go w tej chwili. Tego samego dnia - a było to akurat trzy lata temu,koło dwudziestego września - Julien Cain,dyrektor Biblioteki Narodowej,jeden z prawdziwych klerków francuskich i przytym człowiek bardzo wpływowy politycznie, z niepokojem,zawstydzeniem i dyskrecją których nigdy nie zapomnę,pyta mnie o wieści z Warszawy. I kiedy odpowiadam mu,sam nagle uświadamiając sobie niepojętą wielkość tego faktu,że Warszawa wciąż się broni,Cain rzuca na siedzącego naprzeciw niego kolegę -pisarza instynktowne spojrzenie,nie przeznaczone dla mnie,które niechcący przychwycam i czuję idący do serca przypływ zarazem dumy i boleści. To spojrzenie oznacza zachwyt artysty dla wielkości,o której się już zwątpiło,aby mogła istnieć w naszym czasie,zachwyt,jaki mogłyby wzbudzić nagle odkryta nieznana wspaniała tyrada Wiktora Hugo albo scena z Corneilla. Cain patrzy na mnie i mówi cicho z pełnem podziwu i wzruszenia zdumieniem:"Impossible." Poczym wciąż tym samym tonem najgłębszej troski i przyjaźni zapewnia mnie,że postara się tego dnia jeszcze zobaczyć swego przyjaciela Bluma i skłonić go do interwencji za natychmiastową pomocą i wreszcie jakby czynił spowiedź i w ten sposób przynosił ulgę swemu sumieniu,pyta mnie o szczerą i bez osłonek odpowiedź,co w Polsce myślą teraz o Francji. Na to pytanie wówczas właśnie i tym właśnie tonem zadane nie można było odpowiedzieć jakimś dyplomatycznym wykrętem; cała,bolesna prawda było to właśnie,czego potrzebował szlachetny Francuz,poruszony w swem poczuciu sprawiedliwości i w świadomości historycznego posłannictwa Francji. Jestem też pewny,że nigdy nie byłem tak bliski temu szlachetnemu człowiekowi,jak wtedy,kiedym mu na jego pytanie odpowiedział:"Sam pan rozumie,że muszą myśleć niedobrze".

Dziś,po trzech latach od tych dni,gdy wspominam tę chwilę,gdy myślę o innych przyjaciołach,o drogim Henri Langier,jak cieszył się swoją wybuchową radością tem,że to Polska właśnie pierwsza zagrodziła drogę Niemcom, o tak napozór zimnym a tak delikatnym Bourdecie, o najwierniejszej z wiernych Różyczce,która nam przyniosła "na wojsko polskie" wszystkie swoje klejnoty, myślę też z najgłębszym braterskim uczuciem o narodzie francuskim,który,choć męczeństwo jego nie może się równać z naszem, przeżywa tortury moralne,jakich żaden inny naród nie odczuwa,znosi walki sumienia,rozdarcie wewnętrzne,poczucie wstydu,które są oszczędzone nam Polakom.

Tylko wielka małoduszność mogłaby nie doceniać tych cierpień i kto czytał artykuł surowego Mauriaca w parę dni po kapitulacji,pomieszczony w "Figarze",a teraz,wyszłe w Rio potężne,prorocze dzieło Bernanosa "Lettre aux anglais",akt odwagi sumienia,po którym równy trzebaby się cofnąć do naszej wielkiej literatury romantycznej - ten zrozumie,jaki wstrząs potężny przeżywa dziś wszystko,co jest szlachetne we Francji i ten niedaleki będzie jakże religijnej,jakże zrozumiałej nam Polakom myśli,że owo tragiczne doświadczenie Francji może być jakby zesłaną na nią straszną próbą,daną jej dla jej prawdziwego odrodzenia.

To odrodzenie w które wierzymy,musimy wierzyć,jest nietylko potrzebne dla moralnej odbudowy Europy,nietylko jest ono wielkim problemem naszej kultury,ale właśnie po doświadczeniach tej wojny,po tym potwornym wybuchu germańskiego szaleństwa jest sprawą właśnie dla Polski najpierwszej politycznej wagi. Zapatrzeni w wizję nowego świata,słusznie czekając od niego w różnych dziedzinach zbawiennych nowości,zerwania z tak ciężko winną przeszłością o jednem jakgdybyśmy zapominali,że jedno,cokolwiek się stanie,nie może się zmienić:mianowicie geografia i etnografia Europy. Po jednej stronie Niemiec zawsze będą Polacy,po drugiej zawsze Francuzi i nigdy nie postawiony jak należy problem polsko-francuski stanie znów przed nami bardziej palący,bardziej istotny niż wiele spraw politycznych,któremi dziś zaprzątamy sobie głowę. I trzeba to odrazu powiedzieć: to wszystko,co się stało w czasie tej wojny,jakkolwiek byłoby tragiczne i dziś tylko rozpacz budzące,może i od nas to zależy,aby tak się stało,obrócić się na najlepsze w stosunkach polsko-francuskich może ów wielowiekowy,jakże zakłamany,zadeklamowany problem; jasno i zdrowo postawić raz na zawsze i ową nigdy nie przedyskutowaną a tak narzucającą się z przeznaczeń kulturalnych i politycznych przyjaźń uczynić istotną wartością i czynnikiem ładu w Europie. To co przedewszystkiem stało na przeszkodzie owemu głębokiemu wzajemnemu zrozumieniu:życzliwa pobłażliwość,protekcjonalna wyższość tyle razy okazywane nam w Paryżu ustąpią, napewno muszą ustąpić poczuciu naszej wielkiej roli,zmienić się samą siłą naszej moralnej postawy,zdobytej w tej wojnie. Do nas zaś,Polaków, których tylu kochało Francję w chwale i świetności,należy okazać jej miłość w nieszczęściu,miłość bezwzględną wobec zdrady i małości,ale pełną uczucia wobec nieszczęścia,pełną podziwu dla bohaterstwa i pełną wiary w tak dla nas ważną jej piękną i szlachetną przyszłość.

Jan Lechoń

W Bibliotece Uniwersytetu im.Loyoli w Chicago,28 N.Franklin St.powstaje polska sekcja. Potrzebne są książki polskie z zakresu literatury oraz stosowne książki angielskie. P.Dr.W.Sokalski,prof.polskiej katedry tego Uniwersytetu zwraca się za naszym pośrednictwem z gorącym apelem do P.T. Instytucyj i osób prywatnych o dary w postaci książek na cel powyższy. Na żądanie zapłaci za dzieła wybitnych poetów i pisarzy.Jakkolwiek fundusze,ofiarowane przez Zw.Nar.Pol.i Pol.Zjed.Rzym-Kat.są na wyczerpaniu.

"A było to pod Ankenes..."

Jeszcze w Polsce, w czasie ostatniej wiosny spędzonej w kraju jako 15-letni chłopiec marzył o dwuch rzeczach: o mundurze armii polskiej i podróżach. Wprawdzie trudno to było pogodzić, ale fantazja dziecięca i marzenia chłopięce nie znają przeszkód. Widział siebie w mundurze oficera wojsk polskich, zdobywającego na czele zuchwałych ekspedycji dalekie i egzotyczne kraje dla Polski... W albumie znaczków pocztowych wybierał nazwy tych krajów,powodując się pięknością dzikiego krajobrazu,bujną roślinnością podzwrotnikową i ciekawszymi okazami fauny. Wojsko polskie i podróże. Czyż chłopiec z miasta,położonego o kilka zaledwie kilometrów od granicy niemieckiej mógł przypuścić,że te jego marzenia tak rychło przyobleką się w realne kształty.

Jeszcze w lasach i puszczy białowieskiej nie umilkły strzały,gdy nasz bohater rozpoczął swoją wędrówkę w nieznane - wędrówkę,której przyświecał jeden jedyny cel: dostanie się do szeregów armii polskiej,formującej się gdzieś we Francji. Cały majątek jego składał się z kilku drobiazgów,włożonych do tobołka troskliwą ręką matczyną i fotografii jego najdroższych:matki,ojca,młodszego brata i siostry. Gdy droga,wijąca się przez piękną karpacką przełęcz jabłonkowską zaprowadziła go na Węgry, otworzył się przed naszym młodocianym wędrowcem świat nieznanych krajów, o których marzył pod kasztanami rosnącymi na rynku rodzinnego miasta w ostatni maj,spędzony w Polsce. Jakże daleka wydała mu się szkoła z jej radościami i zmartwieniami! Nieznany los,jaki spotkał rozproszoną po całej Polsce rodzinę /ojciec - urzędnik Starostwa został na miejscu,a matkę z młodszym rodzeństwem pożegnał we wschodniej Małopolsce/,krew żołnierska i krew kobiet i dzieci,którą tylekroć widział na drogach polskich sprawiły,że z czarnych jego oczu znikła chłopięca radość. Nabrały one stanowczych błysków męskiej dojrzałości. Już dzisiaj znajomy sklepikarz, u którego kupował cukierki nie śmiałby zapytać się:"A"kawaler"czego sobie życzy?"

Jeden i drugi obóz,nieznane mu języki,piękne a obce miasta,granice coraz to innych krajów,przekraczane nocą w towarzystwie doświadczonych weteranów wrześniowej kampanii polskiej,doprowadziły go do wyśnionego kraju - do Francji,gdzie organizowała się armia polska.

W zacisznej restauracji nowojorskiej,gdy dyskretna muzyka zawodziła "O sole mio!", 18-letni już dziś Kazimierz z zakłopotaniem przygładził swoją rozwichrzoną czuprynę i zapytał nieśmiało:

-"Tak bym się chętnie napił szklankę piwa..."

-"Ależ oczywiście."- zareplikowałem z pewnym zdziwieniem,widząc jego zakłopotanie.

-"Bo widzi Pan, w college'u,do którego uczęszczam w Cambridge Springs,jest to dla mnie nie osiągalne. Małe miasteczko,a my chłopcy z "collegu" musielibyśmy się legitymować,czy mamy już 21 lat. W Kanadzie było inaczej! Jako kapral wojsk polskich chodziłem w mundurze...no i zwykle w towarzystwie starszych odemnie panienek,to też w żadnej restauracji nie pytano się o wiek."

Kazimierz,ten piętnastoletni "kawaler" z miasteczka nad granicą polsko-niemiecką,jest dziś kawalerem "Virtuti Militari",najwyższego bojowego orderu polskiego, jest kontynuatorem najwspanialszych tradycji Orląt lwowskich. Rozgadał się powoli.

Okazało się,że zna mnie z widzenia z Francji,kiedy to z szarymi wozami transmisyjnymi "Radia Polskiego" jeździłem na połów reportaży po obozach armii polskiej.

"Był Pan w Coetquidan?"

"Nie raz i nie dwa...i w Guere i w Plelan le Grand."

"Oσo...Byłem tam na kursie podoficerskim."

"I w Malestroit w czasie ostatniej rewii Brygady Podhalańskiej przed wyjazdem do Norwegii."

"Było wtedy pochmurno i padał deszcz,gdy czekaliśmy na przyjazd generała Sikorskiego na tej wielkiej łące pod miasteczkiem."

"No,a teraz,niech mi Pan opowie,jak to było?"

"Było to pod Ankenes...w maju. Ale maj w Norwegii,tam gdzie myśmy byli,jest zimny. 27 maja 1940 r. rozpoczął się nasz atak,poprzedzony silnym ogniem okrętów angielskich,skierowanych na pozycje niemieckie pod Narwikiem i Ankenes. Atak rozpoczął się o północy. Cóż tu dużo mówić - atak,jak atak. O godzinie 8-mej rano - pamiętam to dokładnie - w 8 godzin po rozpoczęciu ataku, a 11 dni po moich urodzinach,bo urodziłem się 17 maja,stało się... W górzystym terenie wysunięty byłem o 15 do 20 metrów przed moją drużyną. Samoloty niemieckie obkładały nasze pozycje bombami,ale mało zwracaliśmy na to uwagi. I w pewnym momencie gruchło coś koło mnie. Bomba! Nie duża,ale wystarczyło,by odłamek jej oderwał mi prawą stopę. Nie było czasu na zwykłe ceregiele,bo do odniesienia za szczyt i na tyły potrzeba było conajmniej 4-ch ludzi. Mój drużynowy,plutonowy Lubański,który wyemigrował z Polski do Francji w 1937 r. zostawił przy mnie jednego ze strzelców. Nasze linie posunęły się naprzód w skutecznym ataku. Z prowizorycznym opatrunkiem leżałem tak 14 godzin,a upływ krwi był bardzo duży. Na swoją oderwaną stopę patrzałem jak na coś dziwnie obcego. Nie straciłem ani na chwilę przytomności. Przyznać muszę,że nie czyniłem zbyt dużo hałasu. Od czasu do czasu tylko pojękiwałem,gdy zbytnio bolało. Po 6-ciu godzinach leżenia odesłałem strzelca,bo i tak mi nic nie mógł pomóc. O 14-tej godzinie czułem,że już zbyt długo nie wytrzymam. Życie uratował mi podchorąży Ksawery Pruszyński. Jego drużyna znajdowała się w plutonie,który w ostatnich dniach przeżył ciężkie chwile i poniósł dużo straty na wysuniętej placówce,z której trudno było się wycofać pod krzyżowym ogniem niemieckim. W tym okresie pluton ten znajdował się w odwodzie. Pruszyński,dowiedziawszy się,że gdzieś między pagórkami leży ranny z oberwaną stopą,wyszedł na poszukiwanie. Zobaczywszy go z daleka krzyknąłem resztkami sił. Po chwili Pruszyński,jakiś plutonowy,kapral i strzelec,nieśli mnie na niemieckiej płachcie namiotowej w stronę zbawczego szczytu i stacji opatrunkowej. Na szczycie - były to ostatnie chwile mojej przytomności - gdy noga mi zbytnio dokuczała poprosiłem o zastrzyk morfiny. Pamiętam jak przez mgłę,że doktór,czy też sanitariusz,gładząc mnie delikatnie po głowie powiedział:"A skądże ja ci, chłopcze,wezmę morfiny?" To były ostatnie słyszane słowa. Zbudziłem się w szpitalu angielskim już po transfuzji krwi. Mówiono mi,że trzeba było aż litr tej krwi. Ponieważ był to szpital angielski,więc przypuszczam, że teraz w żyłach moich płynie sporo angielskiej czy szkockiej krwi. No a potem w grudniu 1940r. gdzieś w Anglii Wódz Naczelny dekorował mnie i kilku innych orderem "Virtuti Militari". Ot i cała historia! Nic nadzwyczajnego. Wyszedłszy ze szpitala przydzielony zostałem do oddziałów wojsk polskich w Kanadzie,a stamtąd,dzięki staraniom generała Ducha i jednej z zacnych rodzin Polonii amerykańskiej,dostałem się do Stanów. Studiuję teraz inżynierię w College'u w Cambridge Springs. Nie wiem,co się dzieje z moją rodziną. Tak mi żal mego tornistra,który pozostał gdzieś w Norwegii..."

"Jak to tornistra?"

"Tornistra,w którym miałem kilka swoich cennych osobistych drobiazgów. Najważniejsze to fotografia mojej rodziny,no i szkoda też foto-

"Był Pan w Oestgadum?"
"Nie [illegible] w Fifjan i w Gratangen."
"[illegible] na pamięć [illegible]."
"I w Narwiku [illegible] ostatniej [illegible] Brygady Podhalańskiej
przed [illegible] do Norwegii."
"[illegible] przyjazd
generała Sikorskiego [illegible] wielkiej [illegible] pod [illegible]."
"[illegible] Pan opowie, jak to było?"
"[illegible] to pod Ankenes ... w maju. Ale mój w Narwiku, ten [illegible]
[illegible] 27 maja 1940 r. [illegible] rozpoczął się [illegible]
[illegible] angielskich [illegible] na pozycje niemieckie pod
[illegible] Ankenes, [illegible] rozpoczął się o północy, [illegible]
[illegible]. O godzinie 3-ciej rano - pamiętam to dokładnie - [illegible]
[illegible] 11 dni po moich urodzinach, [illegible]
17 [illegible]. W [illegible]
[illegible] Samoloty niemieckie [illegible] nasze [illegible]
[illegible] na to uwagi. I w [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible] Mój [illegible]
[illegible] w Francji w 1937 r. [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible] orderem "Virtuti Militari". [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

"[illegible] to [illegible]?"
"[illegible]
[illegible]

grafii i planów miast,które zbierałem. Budapeszt,Belgrad, Plac Św.Marka w Wenecji,Katedra Mediolańska,Łuk Tryumfalny i Pola Elizejskie..."

Ten 18-letni zahartowany żołnierz wrócił na chwilę do swoich pasji chłopięcych zapytując się,gdzieby tu można dostać plan New Yorku i ciekawsze fotografie nowoczesnej architektury tego miasta. Byliśmy razem na Empire State Building. Nakupił masę zdjęć i planów,wysłał wiele pocztówek znajomym i zapytał,czy nie ma tu specjalnego Urzędu Pocztowego, "bo w Polsce na takim budynku z pewnością by był."

Wieczorem tego dnia brał udział w audycji Columbia Broadcasting System - audycji zatytułowanej: "Będą żyć wiecznie!" Aktorzy i technicy radiowi patrzyli nań z podziwem i z szacunkiem,pytając się,czy rzeczywiście miał 15 lat,gdy wstąpił do szeregów armii polskiej. A autor audycji rozpoczynającej się historią młodocianego życia Kazimierza,w ostatniej chwili dopisał taki wstęp:

"Wydaje się,że przyszli na świat nie dawno temu. Może to było przedwczoraj,gdy chodzili z poobijanymi kolanami i płakali dużymi,słonymi łzami? A wówczas braliśmy ich w objęcia,przemawiając tkliwie i ocierając łzy. Nieco później,może wczoraj,gdy byli chłopcami,często zwracaliśmy im uwagę na nieporządek w pokoju,na to,że nie mówią "dziękuję" i "proszę".Byli dziećmi i traktowaliśmy ich,jak dzieci. Lecz potem zjawił się człowiek,który wrzeszczał,że 35 milionów Polaków prześladuje 80 milionów Niemców,że nazistowska ojczyzna jest bezbronna i że,by poskromić tę"djabelską Polskę",musi ona zniknąć z mapy Europy! Gdy nabite gwoździami buty i warczące samoloty przekroczyły granicę,chłopcy stali się mężczyznami. Trudno sobie wyobrazić takie przeobrażenie. Lecz tak jest. Dzieci te noszą z dumą mundur wojskowy,obsługują armaty i wygrywają bitwy. Gdy mówimy o żołnierzach, mamy często na myśli dzieci wczorajszego dnia."

I po tym wstępie na tle dźwiękowym "Jeszcze Polska nie zginęła." Szopenowskiego Poloneza i marszów wojskowych popłynęła na fali radiowej historia życia Kazimierza "chłopca jeszcze wczoraj,a żołnierza dzisiaj"- historia słuchana przez dziesiątki milionów obywateli amerykańskich.

Gdy wieczorem po próbach i audycji opuszczaliśmy studio CBS,odezwał się Kazimierz:

"A niechże ich...Mają wspaniałe dekoracje akustyczne! Gwizd kuli taki sam,jak pod Ankenes..."

Tadeusz Strzetelski

P r z e d   s e z o n e m   t e a t r a l n y m .

Zbliża się sezon imprez widowiskowych i znów staje się aktualna sprawa Teatru Narodowego,jego możliwości,zasięgu,środków działania,a w pierwszym rzędzie jego linii repertuarowej. Poprzedni sezon był raczej obrazem przygotowawczym,eksperymentalnym; jedna sztuka aktualna,z prawdziwego zdarzenia i jedna sędziwa farsa bulwarowa ani nie dają przekroju możliwości teatru ani nie stanowią jego artystycznej legitymacji. Przemówienia jednak wygłaszane w przerwach spektaklu tchnęły optymizmem i nie mamy bynajmniej powodu,by mu się nie poddać w związku z nadchodzącym sezonem,zwłaszcza,że zarówno obsada artystyczna jak i publiczność zdały świetnie egzamin dojrzałości.

Publiczność polsko-amerykańska nadzwyczaj silną frekwencją zapewniła i najprawdopodobniej nadal zapewniać będzie teatrowi zupełną nieza-

leżność finansową,która jest podstawą spokojnej,wolnej od kłopotów materialnych pracy nad własnym twórczym rozwojem. Dochodowość imprezy zwolniła jej kierowników od polowania na subwencje państwowe,gorszącego w dniach maksymalnego wysiłku wojennego Zjedn.Narodów i to należy również z uznaniem podkreślić.

Zespół artystyczny z jedną z najwspanialszych aktorek Polski,Modzelewską na czele,stanął na wysokości zadania teatru,który chce i przy takiej obsadzie powinien - stać się Narodowym. Wskazanemby jednak było "uderzyć w czynów stal" jeżeli idzie o uzupełnienie zespołu,pamiętając, że w Brazylii czekają na realizację dawnych częstych obietnic Eichlerówna i Ziembiński,w Kanadzie Dziewońska i Krzemiński,a w Buffalo Rozmarynowscy. Tych sześć sylwetek,pięknie zapisanych w dziejach teatru polskiego-to sześć nowych pozycji i wiele trudnych dziś do realizacji możliwości repertuarowych. Dodajmy do nich wracającą do zdrowia Jadwigę Smosarską i zagadnienie personelu Teatru Narodowego staje się ostatecznie rozwiązane w najlepszem tego słowa znaczeniu.

Pozostaje repertuar. Ostatnie głosy prasy i rozmowy wykazują trudności,z jakiemi borykają się na tym odcinku kierownicy teatru. Dawny plan upadł. I słusznie,bo przewidywał m.i. "Wesele","Warszawiankę","Moralność Pani Dulskiej" i "Ich czworo".

Zacznijmy od Wyspiańskiego. Specyficzna atmosfera bronowickiej chaty,reperkusje neo-romantycznych nastrojów Młodej Polski,Kraków Rydla, Przybyszewskiego i Tetmajera,symbolika widm drugiego aktu-wymagają poza znajomością epoki utrwalonej w genialnej szopce aktualnej Wyspiańskiego również zasadniczego przygotowania literackiego widowni,wymagają liczniejszej obsady,wszystkich aktorów mówiących pięknie wiersz - a przedewszystkiem tego nieuchwytnego elementu emocjonalnego współdziałania widowni z aktorem. Spektakl w Irving High School,Newarku,czy nawet w Chicago nie potrafi odtworzyć rewolucyjnej atmosfery teatru krakowskiego z r.1901,gdy wskazywano sobie bohaterów sztuki...na widowni ani nie może mieć cech koncertu aktorskiego na inauguracji sezonu Teatru Narodowego w Warszawie. Wyspiański jest potężnym,genialnym hypnotyzerem,ale magia jego hypnozy zależy w dużej mierze od nadwrażliwości medium. Tu - Wernyhora czy Zawisza mogą wyglądem i tyradami wywołać śmiech a nazwiska z dworu Zygmuntów w zupełności niepożądane asocjacje.

Mutatis mutandis odnosi się to do "Warszawianki" z tem,że samo wprowadzenie pieśni i munduru nie osłabi momentu polskiej depresji,dominanty nastroju owego dworku polskiego w trzecim dniu bitwy pod Grochowem. O wiele szczęśliwszem byłoby wprowadzenie sztuki montażowej,której pierwszym akordem byłby zasadniczy fragment "Warszawianki",a dalszemi inne udramatyzowane "dni krwi i chwały" naszych dziejów. O tem już myślą kierownicy Teatru Narodowego.

Odnośnie Zapolskiej zastrzeżenia są natury innej,bardziej materialnej. W powodzi innych sztuk,granych na przestrzeni całego roku na scenach polskich - opowieść epigonki naturalizmu o paniczu i służącej, wiedźmie i ramolu była sui generis obrazkiem rodzajowym,satyrą społeczną. Taksamo seksualna wampuka o bezmózgim czworokącie. Dziś i tu - tracą one znamiona satyry i dają nam niedobre świadectwo.

Więc co grać? Odpowiedź jest prosta i brzmi:rzeczy piękne i proste,dostosowane do widowni,którą -jak każdą widownię- należy podciągnąć umiejętnie i bez zrywów. Sztuk takich jest wiele,wystarczy przypomnieć sobie repertuar wielkich scen polskich; można zaryzykować śmiało mądrą i piękną "Przepióreczkę" St.Żeromskiego,doskonałą"Przeprowadzkę" K.H. Rostworowskiego,zakończoną mocnym akordem wiary w życie,subtelne "Lato w Nohant" J.Iwaszkiewicza,arcy-barwną baśń Rydla"Zaczarowane koło",komedie Fredry "Śluby panieńskie","Pan Jowialski", Bałuckiego "Radcy pana

radcy","grube ryby","Dom otwarty", Blizińskiego "Pan Damazy",Kraszewskiego "Miód kasztelański", wodewile J.N.Kamińskiego "Krakowiacy i Górale", "Skalmierzanki", Krumłowskiego "Królowa przedmieścia","Białe fartuszki", farsy Turskiego,Dobrzańskiego,Walewskiego i.i. dziesiątki sztuk i komedii które trafią do polsko-amerykańskiego słuchacza i utrzymają go przy teatrze.By nie polemizować z niedorzecznym a często słyszanym zarzutem archaizmu i słowami "to przecież było grane" wystarczy przypomnieć olbrzymie powodzenie przeróbek "Jadzi-Wdowy","Żołnierza królowej Madagaskaru", "Podróży po Warszawie" czy "Królowej przedmieścia" w Warszawie,Lwowie, Krakowie,Łodzi.

Pewne kanony musi sobie dziś Teatr Narodowy w U.S.A ustalić:świadectwa,wystawiane określonym epokom polskiego życia przez Zapolską,Rittnera,Kisielewskiego,Perzyńskiego lub Krzywoszewskiego będą tu najfatalniej interpretowane i niebezpieczeństwo ich jest stokroć większe od szlachetnego patosu niezrozumiałych tu konradowych rozmów z maskami czy nawet genialnych strof "Improwizacji". Operowanie koturnem choćby najszlachetniejszym trafi w próżnię - ale naturalistyczne ujęcie nerwowego,dośrodkowo spaczonego życia polskiego z przed trzech czy czterech dziesiątków lat wywoła jednostronne,wrogie nawet komentarze zwłaszcza przy częstych a żenujących nas porównaniach z dzisiejszą rzeczywistością amerykańską. Niestety sztuk,obrazujących pozytywne osiągnięcia i zdrowe ideały ostatnich dwudziestu lat Polski Odrodzonej - nie mamy.

Rzucam tych kilka luźnych,subjektywnych uwag w nadziei,że zagają one potrzebną dyskusję. Należycie podsycana i przemyślana przez kierownictwo Teatru Narodowego,może rozwiązać trudny choć prosty problem jego repertuaru w roku,który nam wykaże,czy wielkiemu tytułowi Teatru Narodowego,obranemu odważnie i śmiało - odpowie działalność godna wspaniałych tradycji szyldu.

Jerzy Tepa.

Time bomb.

Powieść.

Ciąg dalszy.

Kiedy przyszło do zmywania garnków,które należało do Wandy,sprytnie zauważała,że Letycja wygląda zupełnie jak Polka,co niewiadomo dlaczego bardzo podobało się jej.Zawiązana na głowie chusteczka i zapewnienie,że niktby jej teraz nie odróżnił na polskiej wsi,wystarczały żeby Letycja sama zmyła wszystko.Przytem musiała spieszyć się,bo Wanda czekała na lekcję i uważała,że robi Letycji łaskę,pozwalając uczyć się.Twierdziła,że sama ma lepszy akcent od niej,tylko że niema czego akcentować,bo nie zna gramatyki,słówek i wymowy.Gdy znudziła się,przerywała,mówiąc,że szkoda jej czasu na naukę holenderskiego.Wtedy Letycja obrażała się i przysięgała,że więcej nie będzie jej uczyła,ale przysięga obowiązywała tylko do lekcji następnego dnia.Wanda potrafiła zawsze tak pokręcić,że Letycja prosiła ją,żeby uczyła się dalej. Przyjaciółki wiedziały o sobie wszystko,na jednym jednak punkcie Letycja była tajemnicza.Gdy rozmowa zeszła na Niemców,stawała się nieobecna.Milkła,patrzała a nie widziała,i nie słyszała,co się do niej mówi.Nic nie można było z niej wydobyć.Kompleks jakiś,czy co? - myślała Wanda. Raz w zaułku koło Russel Street zobaczyły zestrzelonego Messerschmitta.Wanda widziała już nieraz w Polsce te czarne krzyże na skrzydłach,więc nie zrobiło to na niej wrażenia.Tyle,że teraz malują sobie jeszcze jakieś godła na kadłubie.Ten miał parasol Chamberlaina,więc Wanda zaczęła się śmiać.Gdy jednak spojrzała na milczącą Letycję,przestraszyła się.

-Co ci jest? coś ty taka blada?

-Ja? - odpowiedziała,jakby zbudzona ze snu.
-Nawet wargi masz białe!
Letycja była zmieszana.Gryzła przez chwilę usta,ale to nic pomogło.
-Daj mi pomadkę- poprosiła i więcej nie powiedziała nic.
Tego dnia Wanda sama zrobiła kolację,pomyła garnki i przez całą godzinę uczyła się po angielsku.
Profesor nie mógł wymierzyć czasu trwania pocałunku,bo przyjaciółki wypuszczały się z objęć,żeby Letycja mogła wytrzeć łzy i tuliły się dalej. Wreszcie zauważyły,że żadna z nich nie jest ranna.
-A ja cię szukam po wszystkich szpitalach...
-Ja też chciałam cię szukać,ale nie dali!- Wanda wskazała na doktorów.
-Pani też Polka?-zapytał profesor,chcąc jakoś przerwać te pocałunki.
-A widzisz?-zawołała Wanda do ucieszonej przyjaciółki.-Wszyscy,wszyscy biorą cię za Polkę!
-Ja jestem...-zaczęła Letycja,ale nie mogła skończyć.
-Ona jest Holenderka,ale zupełnie jak Polka,prawda?Straszne oszukaństwo z tymi rasami,nie?
-Ja jestem...
-Letycja,Letycja van Arnel- przedstawiła ją Wanda.-Ona też pracuje, tylko że w holenderskim,a ja w polskim - ale to w Londynie w jednym gmachu,koło Picadilly - ministerstwie. I razem tam pracujemy,i razem mieszkamy,i razem dostałyśmy urlop i razem tu!- paplała Wanda nie dopuszczając nikogo do głosu.
-Ja chciałam tylko powiedzieć,że ja jestem...
-Co ty jesteś?
-Że trzy dni tu jesteśmy...
-Tak!Trzy dni!No i dziś razem byłyśmy na dachu i razem gasiłyśmy te zapalające,ale ona po piasek na dół...
Letycja nie znalazła piasku ani na dole,ani w sąsiedniej uliczce, ani w dalszych,bo zapotrzebowanie przekroczyło wszelkie obliczenia.Szukając,zawędrowała daleko aż na Heigh Street.Tam jednak nie było ani piasku ani wody nawet.Bomba rozbiła sikawkę i ludzie nosili w konewkach.Staruszki,dziewczyny,nawet dzieci.Więc Letycja musiała im pomóc.Gdy pożar ugaszono,musiała znowu pomagać pionierom i odkopywać zasypanych.Wzięła łopatę,od jednego,który ledwie mógł ją dźwignąć.Tam wreszcie dokopała się piasku,ale gdy wróciła z pełnym workiem,nie było już ani Wandy,ani domu.Tylko jacyś obcy ludzie szukali w gruzach i powiedzieli jej,że nie zabiło nikogo.
-Wszystkie moje sukienki!- przerwała jej nagle Wanda.-A tej z hafcikiem nie widziałaś?
-Co?...-Letycja przez chwilę myślała.-Której z hafcikiem?
-Ojej!Której!Jedną tylko miałam z hafcikiem.Taka niebieska,nie pamiętasz?
-Żadnej nie widziałam.
-Co ja zrobię bez tej z hafcikiem!-Nagle spojrzała z przerażeniem.- A..a to pudło z maquillagem?Co? Nie znalazłaś?
-Pudła? Nie...
-Nie szukałaś!
-Szukałam,ale tam nie ma po co szukać,bo tam nic już nie ma.Została tylko taka kupka cegieł...
Wanda wpadła w szczerą rozpacz.Jedyna rzecz,jaką udało się jej uratować z Francji przepadła przez tych barbarzyńskich Hunów!Taka napadła ją wściekłość,że palnęła to prosto w oczy Niemcowi.Niech wie ta time-bomba co o nim myśli!

/Ciąg dalszy nastąpi./

Antoni Cwojdziński